

Polak na Berlinale: Przepraszam za mój film



Tadeusz Sobolewski, Berlin 2015-02-09, ostatnia aktualizacja 2015-02-09 20:03:56

Polski "Performer" w sekcji Forum Expanded berlińskiego festiwalu. Film o zdradzie awangardy lat 60. i 70. mocno zabrzmiał w jej dawnym bastionie - Berlinie.

"Performer" Łukasza Rondudy i Macieja Sobieszczaka zaczyna się podobnym ujęciem jak "Człowiek z marmuru" Wajdy: kamera przejeżdża przez sale Muzeum Narodowego, mija galerię klasycznego malarstwa, aż dociera do porzuconej socrealistycznej rzeźby robotnika.

U Wajdy przewrócona figura człowieka oszukanego przez ustrój została symbolicznie ożywiona. W "Performerze" nie chodzi już o "soc", tylko o sztukę nowoczesną, neoawangardę - w tym wypadku sztukę performance'u. Była ona z założenia "antymieszkańska", miała poruszać ludzi, oddziaływać bezpośrednio na rzeczywistość, a stała się z czasem elitarną, hermetyczną zabawą.

'Performer' - zwiastun - Wajda School and Studio



*

W filmie Rondudy i Sobieszczaka Oskar Dawicki jest artystą jakby nie z tego czasu, ostatnim performerem. W świecie, gdzie "wszystko już było", i gdzie - jak ironizują artyści - "jeszcze tylko Holocaust daje się sprzedać", grający sam siebie Dawicki poświęca życie, żeby stworzyć swoje ostatnie dzieło zatytułowane: "Mowa jest srebrem". W wędrówkach po [Warszawie](#) towarzyszy mu inny artysta, dobrze ustawiony na światowym rynku (gra go [Andrzej Chyra](#)), który wyznaje cynicznie: "Skoro [w sztuce] już o nic nie chodzi, niech przynajmniej ja coś z tego mam".

Film o zdradzie awangardy lat 60. i 70. mocno zabrzmiał w jej dawnym bastionie - Berlinie. Pokaz "Performera" w Akademii der Kunst zakończył się performance'em na żywo. Dawicki w błękitnej cyrkowej marynarce wychodzi na scenę (postronny widz pewnie mógł pomyśleć, że naprawdę umarł, a ten film to epitafium) i parodiuje rytuał festiwalowych konferencji. Przedstawia całą ekipę przy dźwiękach żalobnego szlochu z taśmy i przeprasza, przeprasza za wszystko. Za kłamstwo sztuki, za to, że się nie zabił, że na ekranie jest tylko tyle, ile jest, i więcej już nie będzie. Sorry.

[PRZEJDŹ DO WYWIADU Z ŁUKASZEM RONDUDĄ...](#)

Rodzajem performansu jest też znakomite "Taxi" Jafara Panahiego. Kiedy oglądam kolejny nielegalny film irańskiego reżysera, jeszcze raz łamiącego nakazane przez władze milczenie, myślę, że jest możliwa sztuka, za którą płaci się życiem, która dokonuje wyłomu w ocenzurowanym obrazie świata, a więc w jakiś sposób wpływa na rzeczywistość. Panahi prowadzi taksówkę, w której zmieniają się pasażerowie (aktorzy i naturszczycy). Radość, jaką sprawia ten prościutki film, ma coś z tej radości, jaką przeżywali widzowie polskiego kina lat 70., pokazującego po raz pierwszy "świat nie przedstawiony". W tym półtoragodzinnym kursie przez ulice Teheranu, gdzie niekontrolowana, niecenzuralna rzeczywistość dosłownie wdiera się do wnętrza taksówki, została sfilmowana jakaś niewidzialna bariera wolności, która ogarnia cały dzisiejszy świat - pełen niezliczonych wyrafinowanych rodzajów cenzury, a zarazem pozwalający natychmiast rozpowszechnić wszystko, co zakazane.

Gwatemalska "Halka"

W gwatemalskim "Ixcanul" Jayro Bustamante Indianie, w większości nie znający hiszpańskiego, pracują niewolniczo na plantacjach kawy, na stokach czynnego wulkanu, do którego zanoszą modły i ofiary przebłagalne. Są zdani na taskę bossów. Pewna dziewczyna zachodzi w ciążę z chłopakiem z plantacji, który jednak ucieka do wymarzonej Ameryki. Rodzi [dziecko](#), ale mówi jej, że było martwe - ona podejrzewa, że zostało sprzedane. Gwatemala jest znana jako "eksporter dzieci".

Ten obraz życia pod wulkanem jest naturalistyczny, surowy, brutalny. Młodzi Majowie po pracy zapijają się wódką, rzygają, kopulują. Jest w nich bierna zgoda na takie życie, brak sprzeciwu, a przede wszystkim brak języka, którym mogliby go wyrazić. Romantyczna tragedia, gwatemalska "Halka" o zdradzonej dziewczynie wtapia się w codzienną beznadziejność.

Na konferencji festiwalowej - dwie milczące Indianki w odświętnych strojach, filmowa matka i córka. Patrząc na nie, myślałem, że obrazy "wykluczenia", nędzy, klasowej nierówności robione po to, by wywołać krótką festiwalową sensację

i zdawkowe objawy szacunku, mają w sobie coś podejrzanego. Ten fałsz uświadamia Dorota Masłowska w sztuce "Między nami dobrze jest", w postaci reżysera, który robi karierę na pokazywaniu "wykluczonych". Charakterystyczne, że w obecności Indianek reżyser nie akcentował ciemnych, rozpaczliwych stron życia, o których mówi film. Bądź, co bądź, to jest ich życie, nie dające się w całości spisać na traty. Indianki, kiedy dopuszczono je do głosu, najpierw powitały zebranych w języku Majów, tak uroczyście, jakbyśmy wszyscy byli ich gośćmi, a potem podziękowały Niebu za film, tak jakby świętem był sam fakt pokazania ich świata.

Stare dobre małżeństwo

Gdybym miał wybrać jeden obraz, jeden aktorki gest, który zostaje z pierwszych dni festiwalu - byłoby to końcowe ujęcie Charlotty Rampling z brytyjskiego filmu "45 lat" Andrew Haigha. Jubileusz 45-lecia małżeństwa przygotowywany pieczołowicie, z muzyką z lat 70., z tłumem gości, z obowiązkowym przemówieniem męża (którego gra Tom Courtenay, bohater zrealizowanej przed pół wiekiem "Samotności długodystansowca"). Pewne wydarzenie zakłóci ich święto. I choć punkty programu pozostaną niezmienione, dla żony - Charlotty Rampling - wszystko nabiera teraz nowego, nieznanego znaczenia.

To wydarzenie mogłoby mieć formę bardziej banalną - powiedzmy, list miłosny odkryty po latach. Ale to, co się zdarza, tworzy alegorię wręcz monstrualną: mąż dowiaduje się, że w alpejskim lodowcu znaleziono zamrożone ciało dziewczyny sprzed pół wieku - jego pierwszej miłości. Zamyka się w sobie, kryje się przed żoną, wygrzebuje stare listy i pamiątki. Rozrywa się pieczołowicie stworzona sieć wspólnych czynności, książek, lektur, muzyki razem słuchanej - tego wszystkiego, co zapełnia pustkę starości i tworzy aurę "starego dobrego małżeństwa". Żonie wydaje się, że mąż uznaje życie z nią za mniej warte, za wybór nr 2 w stosunku do tamtego, tragicznie przerwane związku. I właśnie to poczucie opuszczenia, samotności, zdrady po 45 latach wyraża twarz Rampling, jakby nieobecnej, pomimo toastów za zdrowie "wspaniałej pary". Film o pustce nieuniknionej, o progu, który przekracza się na starość, o błędzie cofania się w przeszłość i potrzebie wytworzenia innego rodzaju miłości.

Modlitwa do muzyki Kilara

"Rycerz pucharów" Terrence'a Malicka to jego trzeci tego rodzaju film, po "Drzewie życia" i "To the Wonder": dwugodzinny strumień uciekających, medytacyjnych obrazów. Przemykają w rytmie muzyki. Skąd ja to znam? - zastanawiałem się. To "Exodus" Kilara! Wszystko razem tworzy filmową modlitwę, z całym towarzyszącym jej drażniącym egotyzmem, z grafomańskim banałem obrazów cywilizacji i natury filmowanych kosmicznymi obiektami Emanuela Lubeckiego o ogromnej jasności. Mimo swego rozmachu, przypominają one obrazki z kościelnej gabloty mówiące o boskim pochodzeniu świata, albo jeszcze gorzej: foty z ofert przedaży. Piękno przechodzi tu w świadomy kicz Las Vegas. Obrazy miłości przerażają się w pokusy seksklubów. Jakbyśmy oglądali gigantyczny fotoplastikon na pożegnanie ziemskiej cywilizacji.

W pewnym momencie Malick wydobyla jednak spod tego piękna coś bolesnego (nadal się tym zachwycając). Wyrzuca z siebie obrazy zdewastowanego domu dzieciństwa, walki z ojcem zakończonej pojednaniem. Towarzyszy temu skąpy komentarz poza kadru, czasem sprowadzający się do westchnienia: "och, życie...".

Wylania się fabularny trop: rycerz pucharów - figura młodego wrażliwego mężczyzny z kart tarota - w połączeniu ze słynną XVII-wieczną chrześcijańską alegorią Johna Bunyana "Wędrowniaku pielgrzyma" i z "Hymnem o perle", starożytną historią syna wysłanego przez rodziców do Egiptu po drogocenną perłę. Syn zasnął, zapomniał o swej misji. Ale obudził go głos ojca.

Dziwne doznanie: film Malicka, szantażujący nas cudzymi pięknosciami, ogląda się z chłodnym dystansem, tak jak się patrzy na artystę celebrującego swoją erudycję. Ale w sumie ta filmowa "wielka improwizacja" wymusza moment wzruszenia i pewien podziw - ale pod warunkiem, że byłby to ostatni film na [Świecie](#).

ROZMOWA Z ŁUKASZEM RONDUDĄ, współautorem fabuły "Performer", kuratorem MSN w Warszawie:

Tadeusz Sobolewski: Co to jest performance?

Łukasz Ronduda: Można to pokazać na przykładzie sztuki Zbigniewa Warpechowskiego, który występuje w naszym filmie jako mistrz młodego performerera Oskara Dawickiego. Ma 77 lat. Odtwarzamy niektóre jego słynne performance'e z lat 70. W "Dialogu z rybą" artysta wyjmuje rybę z akwarium i sam trzyma głowę pod wodą aż do granic wytrzymałości. Ryba się miota, człowiek się dusi. Oboje przez chwilę znajdują się w podobnej sytuacji. Z kolei "Champion of Golgota" to performance zrobiony wkrótce po wyborze Polaka na papieża. Warpechowski, człowiek głęboko wierzący, chciał sparodiować powierzchowność wiary, kult papieża w jednoosobowym spektaklu religijno-sportowym o championie, który szybko idzie na Golgotę. To była sztuka radykalna.

W sensie politycznym?

- Raczej idealistycznym. Przeciwno sprzedawaniu sztuki, pracy na zamówienie. Warpechowski wierzy, że jest coś takiego, jak esencja sztuki, czysta idea. Nie potrzeba żadnego materialnego nośnika. Trzeba odrzucić płótno, rzeźbę, media i samemu stanąć przed publicznością w stworzonym rytuale.

Ma być naprawdę.

- Tak, chodzi o prawdziwe przeżycie. Jednorazowe. Jeden z performance'ów Dawickiego polegał na tym, że artysta nie przychodził, zawiadamiał, np. że zacięła się winda. Pewien performance zaczynał się nagraniem oklasków: artysta kłania się, widzowie zaczynają klaskać - to wszystko. Albo wyświetlane są same napisy końcowe, "credits", bez dzieła, które nie jest potrzebne, a w jakimś sensie jest niemożliwe.



Warpechowski i Dawicki - stary i młody performer - żyją dziś w świecie schyłkowej wiary w idee. Obaj w tym filmie igrają ze śmiercią. Klepsydra Dawickiego kończy "Performer". Niewprowadzeni widzowie myślą, że Dawicki umarł. To zresztą jest po jego myśli - on miał wiele prac o śmierci; projekty, w których pyta innych o to, czy sam istnieje. Dawicki nie gra tutaj siebie, po prostu jest sobą. Przyjaźnimy się, więc wiem, że taki właśnie jest: samotny, oldskulowy, z depresją, w tym zagrożonym mieszkanku, jak u XIX-wiecznej bohemy. Jest odszczepieńcem w świecie sztuki, w którym działają tak głośni artyści społeczno-polityczni. Ale niemoc i pustka Dawickiego są prawdziwe, nie wykalkulowane.

Do swoich performance'ów zawsze zakłada niebieską, świecącą marynarkę, jak z cyrku. To, co robi performer, jest rodzajem głębokiej klaunady. Np. taki numer: na cmentarzu, w świeżo wykopanym grobie, Dawicki skacze w górę jak na batucie. To wygląda jak zabawa w chowanego - jestem, nie jestem... Sztuka potrafi być przejmująca również na poziomie jarmarcznym.

- Jego cyrkowa marynarka to kpina z rynku sztuki. Kiedy idzie w niej na cmentarz, to też jest cyrk. A zarazem kryją się w tym pytania podstawowe, jakie stawiał wcześniej Warpechowski: o istnienie, o duchowość, o sztukę, o Boga.

"Performer" to epitafium dla tego rodzaju sztuki?

- Ale można spojrzeć inaczej. Tak ogląda "Performer" publiczność festiwalowa Rotterdamu, a teraz Berlina: to są surrealistyczne obrazy, w których jest samotny człowiek. Można się z nim zidentyfikować, nie będąc artystą, ani nawet odbiorcą współczesnej sztuki wizualnej.

W muzeach sztuki nowoczesnej za wystawianymi pracami nie widać człowieka, tylko idee. Ktoś powiedział, że współczesne sztuki wizualne genialnie kontemplują swoje oderwanie od człowieka.

- "Performer" przerywa tę samotność. Zaskoczyło mnie, że na kolaudacji w TVP ludzie, na co dzień zajmujący się serialami, wzruszyli się bohaterem. Ten film jest próbą odnalezienia zgubionej komunikacji z odbiorcami sztuki współczesnej. Jest zarazem historią fabularną i wystawą sztuki, szeregiem performance'ów. Reżyserując ten film, nie chciałem rezygnować z roli kuratora sztuki, a Dawicki - z roli artysty. Ale włączyliśmy sztukę w ciąg fabularny, który pozwala widzowi przejąć się postacią artysty.

Postąpiliśmy inaczej niż Steve [McQueen](#) - autor "Głodu" i zarazem artysta wizualny, który w kinie jest kimś zupełnie innym niż w galerii. Wybraliśmy drogę pośrednią. Tego - jak mi się zdaje - dotąd jeszcze nie było.



Filmy, seriale, płyty, koncerty, książki, spektakle, wystawy, komiksy.

Przez cały dzień i cały tydzień.

Dołącz do nas na [Facebooku](#).

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - <http://wyborcza.pl/0,0.html> © Agora SA